Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem. Cena 25 groszy

GŁOS PRAWDY

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY

Adres Redakcji „Głosu Prawdy" Szpitalna 1 m. 3 II p.; telefon 295-67.
Godziny przyjęć codziennie, prócz niedziel i świąt od godz. 4 — 6.
Administracja czynna od 10 — 2 i od 4 — 6.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Rok III. WARSZAWA, DNIA 3 STYCZNIA 1925. Nr 69.

Truciciele myśli.

Gazeta Warszawska, naczelny organ Narodowej Demokracji, rozsypała pod koniec roku hojną dłonią wszystkie skarby swych rozumowań i wierzeń. Niech ludzie mają „gwiazdkę". Niech się ucieszą tą mądrością, która przynosi im niepodlegające wątpliwości dogmaty i cały ów zwarty światopogląd, znany na imię „nacjonalizm". Światopogląd ten nie sprawia nikogo fatygi, nie nadaje się do roztrząsań, przyjąć go tylko należy en bloc, bez zastrzeżeń. Jest on jak buljon w kostkach: rzuca go się do wody i pokarm pokrzepiający dla całego narodu — gotów. Rzuca go się do wody albo do pustej mózgownicy... to jedno. Mózgownic takich, czekających, by zapłodniła je *Gazeta Warszawska*, nie brak w Polsce. Bezmyślnych wszędzie dużo. Dla nich to preparuje endencja owe dary gwiazdkowe w swej myślowej garkuchni. Odbiorcy na specjały takie znajdą się zawsze.

I nie wglądalibyśmy w ten proceder. Iść na spotkanie wulgarnych potrzeb i upodobań czerni ludzkiej nie jest wzbronione. Gdyby Polska była inną niż jest, gdyby miała więcej dobrego gustu i kultury, więcej świadomości politycznej i krytycyzmu, a choćby więcej zdrowego rozsądku i sumienia — stragan endecki handlowałby gorzej i znacznie mniej posiadałby klijentów. Tak — koło niego ścisk... Ciśnie się doń matoł narodowy, któremu imię legjon. I niechby się sobie cisnął, niechby pochłaniał chciwie całą tę karm duchową, jaką

dlań warzy doświadczona przekupka i stara ladacznica, zawsze ta sama już od półtora wieku *Gazeta Warszawska*. Niechby od tego tył i pełniał, niechby mu przybywało apoplektycznych rumieńców na lśniących policzkach i łajdackiego, hulaszczego wigoru. Niechby... Wolno wszak utrzymywać i jatki z psiną, i sklepiki z tandetą i domy publiczne. Ale jednego: truć ludzi i raczyć ich zgnilizną nie wolno. A zaś to czyni właśnie *Gazeta Warszawska.*

Myśli, niesione przez nią, cuchną na odległość, każda z nich jest produktem rozkładu. Karmione niemi tłumy staną się nietylko stokrotnie bardziej głupie, ciemne, wsteczne, — staną się jeszcze bardziej nikczemne. A to już godzi w porządek społeczny i sprzeciwia się zasadniczym interesom ogółu. Dlatego też szkodnictwo napiętnować trzeba i zwrócić oczy wszystkie na jego robotę. Może się przecie znajdzie środek jakiś, by przyciąć języki niegodziwe, by ukazać w całej ohydzie nędzne dusze, by rzucić światło właściwe na przewrotne doktryny, by postawić pod pręgierz trucicieli-pismaków, pragnących skusić i zbezcześcić nową Polskę, tak jak bezcześcili i plugawili starą. Może nareszcie zjawią się siły, co robocie ich niecnej położą tamę. Może...

. . . .

Jasnem jest, że niczego tak się nie boi nacjonalistyczna reakcja polska jak postępu. Fatalne to pojęcie, stworzone ku zmartwieniu wszystkich wsteczników świata, wszystkich obrońców władzy „z łaski Boskiej", wszystkich najmitów kapitału, wszystkich łotrów, zakrywających się powagą Kościoła, wszystkich zwolenników ekonomicznych, moralnych i politycznych pogromów w imię pierwszeństwa „nacji panującej", fatalne to pojęcie rzecz prosta jest solą w oku i *Gazety Warszawskiej.* Tyle lat już z nim walczy, tyle lat je podkopuje, tak gorąco pragnęłaby powrócić do arystotelesowego na wszechświat poglądu, kiedy nie było miejsca na dociekania prawd zuchwałe, a przynajmniej gdy można było zato każdego śmiałka spalić jak kacerza, i oto co raz dalej jest od celu swych pragnień i nie zanosi się by trymfować miała.

Chwyta się więc ostatniej deski ratunku. Dobry los dał jej Bolszewizm, ten obłęd zbiorowy czy zbrodnię, mieszaninę krwi, gnoju i marzenia. Trzeba skorzystać z tego, wołając: oto do czego doszła ludzkość dążąc obłędnie naprzód! To też w szmacie endeckiej czytamy: „Logicznem następstwem liberalizmu jest socjalizm, a logicznem następstwem socjalizmu— bolszewizm". Widzisz — narodzie — jak to proste. Od łyczka do rzemyczka, jak starzy, bijąc w skórę, mówili. Wara więc od wszystkiego, co jest wolnością myśli, bo to nieubłaganie a konsekwentnie doprowadzi do anarchji, do komunizmu, do dyktatury krwawych zbirów. Więc?... Więc—kondluduje zacna *Gazeta Warszawska*: „starą wiarę w powszechny nieprzerwany

postęp ludzkości trzeba złożyć do lamusa". Tak jest. Najwyższy czas... inaczej gotowi djabli wziąć Narodową Demokrację.

Dawno, dawno już w Polsce nie napisano artykułu tak przewrotnego jak „Kryzys wiary w postęp" w wigilijnym numerze *Gazety Warszawskiej*. Ale nietylko przewrotny jest ten wybuch wstecznictwa, jest i bezczelny. W jednem miejscu czytamy: „Wulgaryzowanie zdobyczy nauki wśród szerokich mas odebrało im religję, a nie dało nic wzamian". „Wulgaryzowanie" to znaczy popularyzowanie oczywiście. Oto jak przemawia w podniosłych chwilach nastrojowej szczerości ta w swoim rodzaju „demokracja"... Dzisiaj przestańmy rozpowszechniać wiedzę, uczyniwszy ją dostępną dla wybranych jedynie, a jutro cały świat będzie należał znów wyłącznie do wybranych—rządy i ziemia, fabryki i lasy i prawo smagania batem nieuprzywilejowanej i nie psutej przez wiedzę i przez postęp reszty.

Gdyby świnia miała rogi toby cały świat przebodła... że jednak z rogami temi gorzej, jeszcze czas jakiś zapewne (aż do powrotu do władzy ósemki przynajmniej) myśliciele endeccy nie będą prorokami ani wychowawcami Polski. Lecz sądzą, iż oni właśnie być niemi powinni i nie mogąc wtłoczyć pod swą ferułę narodu, zastrzykują mu w wysiłku rozpaczliwym przynajmniej owe dawki myślowego jadu, które zdrowy rozwój tysięcy wynaturzyć są w stanie, lub ów rozwój opóźnić. Bo nie należy niedoceniać skutków tej propagandy obskurantyzmu To walka na śmierć i życie z prężącą się do czynu, jednak wciąż nazbyt słabą jeszcze, duszą odrodzonej Polski. I do tej walki kujmy broń rozumu, woli, siły, by z trucicielstwem dusz raz skończyć.

. . . .

Zaś jak ono daleko idzie to trucicielstwo, jak śmiało, jak zuchwale już sobie poczyna, jak zatraciło wszelką miarę i wszelki strach przed uczciwą czystą opinją w narodzie — tego dowodem cudny kwiatek uszczknięty na tym samym poczciwym, staropolskim łanie rozmyślań przedświątecznych *Gazety Warszawskiej*. Kwiatek to, przypadkiem niby, niby od niechcenia, wetknięty w mentorskie, jak zawsze, roztrząsania p. Wasilewskiego Zygmunta, oczywiście, tego wielkiego Zygmunta Endecji, którego sercem w spiż uderza w największych okazjach narodowych i najwspanialsze swego ducha tłumom, steroryzowanym uprzednio, wyśpiewuje hymny, którego sercem gryzie, szczuje.

Tym razem idzie o drobnostkę... „o naszą myśl historyczną". Trzeba ją naprostować, bo jak się okazuje z zamiaru wzniesienia na Saskim placu pomnika tym, co ginęli i walczyli za wolność, myśl polska znów schodzi na bezdroża, pod wpływem masonów oczywiście. Nie walki o wolność czcić więc należy lecz zwrócić do Chrobrego, zapomniawszy ów okres szamotania się przeszło stuletni. Chrobremu pomniczysko wykropić — co innego, na to dałby może pieniędzy mistrz Pa-

derewski, gdyby mu Stroński nie oczyścił kieszeni zbytecznie. Ale tych „bohaterów“ czcić, co to spiskowali, między którymi byli jacyś powstańcy, jacyś agitatorzy, jacyś tam nawet legjoniści — Dąbrowskiego czy Piłsudskiego, wszystko jedno, taką bandę gloryfikować, kanonizować i za patronów nowej Polski obierać — na to nigdy nie zgodzi się zdrowa myśl historyczna Endecji.

Bowiem myśl owa stoi na mocnym gruncie, z którego byle co nie zepchnie starej gwardji ugody cynicznej i bezczelnej z czasów przedwojennych, ugody z Koła w Dumie, z salonów Benkendorfa i z wydawanej na ewakuacji „Sprawy Polskiej“. Żywie duch, żywie duch podły endecki i zalewa brudem Polskę wyzwoloną, tak jak pragnącą wyzwolenia potępiał, łasząc się moskalom. I łasi im się jeszcze choć ich niema. Bowiem *Gazeta Warszawska* nie waha się, traktując o „naszej myśli historycznej“ właśnie, wystąpić z protestem przeciwko obchodzeniu w szkole podchorążych rocznicy listopadowej nocy, wielkiej próby otrząśnięcia kajdanów. Zdaniem p. Wasilewskiego niedopuszczalnem jest „aby młodzież wojskowa rozpamiętywała wzór historyczny w Wysockim, który prowadził podchorążych do buntu przeciw zwierzchności“.

Przecieramy w zdumieniu oczy. Kto to napisał? Iłowajski, Murawjew, Apuchtin czy Jankuljo? Nie to tylko endek polski, który od tamtych mistrzów zapożyczył, jak cały jego klan, liczne doktryny. Endek, mający duchowość ciemięzców. Endek, który się brzydzi naprawdę wolnością, bowiem wolność i liberalizm i postęp to jedno. Trudna rada — zdarzyła się nam *niepodległość*, ale niechże to nie będzie *wolność* przynajmniej, bo z tej ostatniej wszelkie zło się rodzi, na obrazę l'Action française, p. Mussolliniego, gen. Primo de Rivera, Ludendorfa i Wasilewskiego. Więc żadnych głupich wspomnień. Precz z bohaterami konspiracji i krwawych buntów przeciwko tyranji. W kulcie dla nich nie trzeba wychowywać Polski. Obchód 29-go listopada trzeba skasować stanowczo. To był wybuch nieposłuchu wobec zwierzchności (moskiewskiej). Wybuch karygodny. Zgoda!... Niech święcą podchorążowie dzień powieszenia Traugutta, bo to był tryumf władzy sprawiedliwej i tryumf praworządności, takiej właśnie, do jakiej wzdychacie znowu w Polsce przez was rządzonej, wy narodu swojego najwięksi uwodziciele i najstraszliwsi jego ducha i tradycji bohaterskich zaprzańcy.

. . . .

I z nierządu dusz waszych chcecie uczynić „program siły“. Szeroko o nim pisze też *Gazeta Warszawska*. Stary lis ubrał się tutaj w komżę i na mszę ogonem dzwoni, poucza co to nacjonalizm i jako że on tylko zbawić nas może. Wasz nacjonalizm to wściekłość narodowa i egoizm narodowy — nic więcej, ale to nie narodowy idealizm, co wierzy w wielką

narodu misję i zadania, co w duchową wielkość jego ufa. Wy powiadacie: z jednej strony Endencja, z drugiej — niwelacja. Ale to wolta niesumienna jedynie. Z jednej strony Endecja, a z drugiej wszystko, co w Polsce ludzkie, kulturalne, czyste i chrześcijańskie, i co z Boga nie chciałoby zrobić endeckiego parobka, a z myśli polskiej brudnej ścierki endeckiej.

Jaki to „program siły“ dajecie narodowi, wskazaliśmy już wyżej. Cuchnące są te źródła, z których czerpiecie, jak czerpać zresztą zawsze zwykła reakcja. Zohydzać wiarę w postęp, zginać do jarzma dusze, psuć charaktery — to wasz program istotny. I on ma zrodzić siłę?! Z kogo te żarty? Jak również komu to mówicie, iż wy dbacie o Polskę, a wszyscy inni tylko o interesy grup i ludzi?!.. Liczycie na zbyt krótką pamięć polaków, boć świeże w niej jeszcze wspomnienia waszych rządów: czyny Seydów, Kucharskich i podobnych. I świeże jeszcze w umysłach napaści wasze na ludzi w Polsce największych, aby zwalić w nich wiarę, podkopać ich powagę i w chaosie, w zaćmieniu, stworzyć pojęć anarchję, jedyną mętną wodę, w której odegrać się możecie, w której prorocy wasi wołać mogą bezwstydnie: precz z postępem, precz w wiarę w wszechludzkie dążenia, precz z wolnością w narodzie, niech żyje program siły, to znaczy program ciasnego łba, rozbestwionego serca i zaciśniętej pięści.

Skandal gdański i odpowiedzialność naszego M. S. Z.

W dniu 9 listopada ub. r. komisarz Ligi Narodów w wolnem mieście Gdańsku p. Macdonnel opublikował decyzję, że „Gdańsk jest państwem w międzynarodowym sensie tego słowa i jest uprawniony do stosowania terminów, które fakt ten uwidoczniają“.

Dyplomatyczne określenie „stosowanie terminów, uwidoczniających fakt Gdańska jako państwa w międzynarodowym sensie“ w danym poszczególnym wypadku oznaczało, że układy między pełnomocnikami rządu polskiego i administracją miasta Gdańska mają być od tej chwili wznawiane i przeprowadzane jako traktaty dwuch obcych państw samodzielnych, przyczem wobec rządu Rzeczypospolitej Polskiej senat gdański odgrywać ma rolę rządu państwa gdańskiego. Decyzja p. Macdonnela odnosiła się do „układu“, jaki jeszcze w roku 1922 rząd nasz uważał za konieczne zawierać z senatem gdańskim dla umożliwienia stosowania na terenie wolnego miasta taryf i zmian taryfowych polskich kolei państwowych, których linje gdańskie stanowią nawet bynajmniej nie autonomiczną część składową. Przewodniczący senatu gdańskiego p. Sahm, zdobywszy sobie „układ“ w tego rodzaju sprawie pragnął także

zdobyć sobie „wymianę ratyfikacji“ tego, zdaniem jego, „traktatu“ między całokształtem sieci kolejowej naszego państwa i jedną z jego poszczególnych stacji węzłowych. Nie mogąc uzyskać tego w Warszawie, p. Sahm zwrócił się do p. Macdonnela i p. Macdonnel upatrzywszy moment, który uważał za najodpowiedniejszy, rozstrzygnął sprawę „zasadniczo“...

Najwidoczniej komisarz Ligi Narodów nie pomylił się w wyborze swego najodpowiedniejszego momentu. W chwili, gdy bezpośrednio potem zebrała się w Rzymie sesja Rady Ligi Narodów, rząd polski nie wniósł żadnego protestu w sprawie decyzji, w której przedewszystkiem p. Macdonnel wykroczył aż nazbyt jaskrawo przeciw ściśle określonym swoim kompetencjom. Zamiast tego, odbyły się przed otwarciem plenarnego posiedzenia jakieś ciche poufne tajemnicze narady między przedstawicielami delegacji polskiej, delegacji gdańskiej i sekretarjatu Ligi, w następstwie których zakomunikowano lakonicznie, że sprawa decyzji o „państwie gdańskim“ nie znajdzie się na porządku dziennym rozważań obecnej sesji Rady Ligi. Powiadają nam, że ma się się znaleźć na porządku dziennym następnej sesji, w Madrycie. Jednocześnie, również cicho i poufnie, postanowiono przedłużyć jeszcze na rok jeden urzędowanie autora decyzji, p. Macdonnela w Gdańsku. Powiadają nam, że po tym roku p. Macdonnel usunięty zostanie — „napewno“.

Stronnictwo „Wyzwolenie“ wniosło w tych sprawach do sejmu interpelację pod adresem p. ministra spraw zagranicznych. Po długim wypoczynku gwiazdkowym p. minister spraw zagranicznych będzie musiał na tę interpelację odpowiedzieć i udzielić żądanych szczegółowych wyjaśnień o tajemnicach rzymskiej sesji Rady Ligi, chyba że stronnictwa prawicowe, głosując przeciwko wnioskowi, w którym jakiejkolwiek „partyjności“ niema ani śladu, okażą zuchwałą odwagę uznania za planowy system tego wszystkiego, co dotychczas jeszcze uważane być może tylko za błędy i nieudolności poszczególnych mężów zaufania tych stronnictw, przez lata już całe stosujących wobec uroszczeń i wybryków niemieckiego nacjonalizmu w Gdańsku naprzemian albo kapitulacją, albo też możliwie jaknajstaranniejsze chowanie głowy w piasek.

Bez względu jednak na to, jak wypadną wyjaśnienia p. Aleksandra Skrzyńskiego w bardzo tym razem niegładkiej sprawie, już dzisiaj stwierdzić trzeba zjawisko w najwyższym stopniu, na tle skandalu, skandaliczne. Oto inspirowana przez rząd polski, przedewszystkiem oczywiście przez polskie M. S. Z., gdańska *Baltische Presse*, w obszernym artykule pierwsza rzuciła hasło ani mniej, ani więcej, jak proklamowania nowych... zwycięstw polskich w sprawach gdańskich przed Radą Ligi Narodów. Zapożyczony z kanonów mądrości dyplomatycznej p. Marjana Seydy dowcip ten polega na odpowiednio komen-

towanem wyliczeniu tych decyzji, które w Rzymie „zapadły“ przy absolutnem pominięciu milczeniem tego, co tam „zapaść“ było powinno. Dowcip, posłusznie i bez ryzykowania niebezpiecznej samodzielności chociażby tylko w ubarwieniach, powtórzony został przez rozmaite narodowo-demokratyczne organy, oraz już przy zaryzykowaniu pewnego rodzaju uzupełniającej samodzielności przez bliski obecnemu kierownictwu naszych spraw zagranicznych *Kurjer Polski*.

„Zwycięstwa“, o których pisze *Baltische Presse* i pospieszająca nagle z sukursem endecja, sprowadzają się, bez komentarzy, do tego, że przy wydalaniu gdańszczan z pozagdańskiego terytorjum Rzeczypospolitej rząd polski ma odnosić się do nich tak jak do obywateli zagranicznego mocarstwa, oraz że ostatecznie potwierdzone zostało prawo Gdańska do samodzielnej delegacji na międzynarodowych kongresach. Zwycięstwami te rzeczy są dlatego — wyjaśnia uprzejmie *Baltische Presse* i jej świetni sekundanci—że właśnie polityka polska zabiegała o to, aby obywatele gdańscy na terytorjum Rzeczypospolitej byli traktowani tak jak obywatele obcego suwerennego mocarstwa i że prawo Gdańska do samodzielności przed forum międzynarodowym wynika już z 6 artykułu tragicznej konwencji, podpisanej przez p. Paderewskiego z pp. Sahmem i Schuemmerem w Paryżu w dniu 9 listopada 1920 roku, skutek czego faktycznie Rada Ligi tylko „raz jeszcze potwierdziła istniejący stan rzeczy“. Jak gdyby nie dość było tej posępnej humorystyki *Kurjer Polski* występuje z wstępnym artykułem, w którym dowodzi, że Liga Narodów nie uznała, ani też nie wykazuje chęci uznania Gdańska jako suwerennego państwa i kończy to dowodzenie refleksją, że nawet gdyby uznała, to też nie byłoby nieszczęścia. Istotnie, do szczególnego widowiska poprzedzającego wyjaśnienia p. Aleksandra Skrzyńskiego w jednej z najpoważniejszych spraw naszej polityki brakowało jeszcze tylko tej parafrazy znanej anegdoty o pewnym adwokacie, który przez dwie godziny bronił stojącego przed sądem klijenta, dowodząc uczenie i delikatnie zarazem, że nie zabił, nie mógł zabić, nie wolno przypuszczać że zabił, zaś zakończył to długie dowodzenie krótkiem już tylko oświadczeniem, że „nawet gdyby zabił, no to... co jest?...“

Tego „co jest?“ p. Aleksander Skrzyński, mamy nadzieję, nie powtórzy wobec opinji polskiej, której już nie tylko prawem, ale wręcz obowiązkiem jest domagać się od niego najzupełniej odpowiedzialnych wyjaśnień w sprawie tego, co odpowiedzialnie uczynione zostało, aby przeciwdziałać katastrofalnemu rozwojowi wypadków w sprawie gdańskiej. I nie trzeba również, aby, przy okazji wyjaśnień, p. Aleksander Skrzyński podobnie jak rządowe biura informacyjne „zapomniał“ o pewnej „opinji“ jaką w czasie ostatniej właśnie sesji Rady Ligi Narodów powzięli *jednomyślnie* rze-

czoznawcy francuski, angielski i włoski wyznaczeni przez Ligę Narodów. Opinja ta, datowana dnia 21 listopada b. r. i podpisana na pierwszem miejscu przez p. de Lapradelle, radcę prawnego mnisterjum spraw zagranicznych w Paryżu, mówi o „punkcie widzenia prawa i zwyczajów międzynarodowych" w stosunkach polsko-gdańskich. Nawiązując do tego, że słowo francuskie „international" znaczy istotnie to samo co niemieckie słowo „zwischenstaatlich" t. j. międzypaństwowe, w powołaniu się na tę właśnie opinję p. Sahm twierdził, że Rada Ligi Narodów w istocie już „prejudykowała" na korzyść Gdańska sprawę międzynarodowej jego suwerenności.

T. E.

Fanny Dittner i panowie Zagórscy.

Sąd lwowski przez trzy tygodnie rozpatrywał sprawę niejakiej Fanny Dittner, niemki, oskarżonej o denuncjowanie w czasie wojny wielu Polaków wobec niemiecko-austryjackich władz okupacyjnych, następstwem czego były liczne represje połączone z pozbawieniem denuncjowanych wolności. Epilogiem sprawy był wyrok uznający winę oskarżonej i skazujący ją na więzienie. P. Prezydent Rzeczypospolitej zrobił użytek z przysługującego mu prawa łaski — karę więzienia Fanny Dittner darował, pozostawiając w mocy rozkaz wydalenia jej z granic państwa.

Prasa endecka, tym razem ze *Słowem Polskim* p. Kucharskiego na czele, dała wyraz niezadowolenia z takiej decyzji Prezydenta, rzucając pod jego adresem zapytanie: „czy nie jesteśmy zbyt wspaniałomyśli?"

Nie znając bliżej akt sprawy i materjału dowodowego w postępowaniu sądowem niezbicie ustalonego, trudno odpowiadać na to pytanie i zresztą nie miałaby taka odpowiedź żadnego znaczenia faktycznego. Akt, na którym Prezydent, na podstawie uprawnień konstytucyjnych, położył swój podpis, nabiera mocy prawnej i polemika prasowa wstrzymać jego działania nie może.

W danym wypadku nie o to też chodzi. Poczucie godności narodowej jest w dostatecznej mierze zaspokojone faktem wydalenia z granic Rzeczypospolitej niemki, która korzystając z przemocy militarnej swej ojczyzny nad Polską, działała na szkodę jej synów, wypełniając polecenia swojej władzy państwowej. Jeżeli zaś ktoś, jak prasa „ósemkowa" ma objekcje czy takie zlikwidowanie rachunków z niemką Fanny Dittner nie jest z naszej strony objawem zbyt daleko posuniętej wspaniałomyślności, jeśli, słusznie czy niesłusznie, domaga się zemsty na obcym za zbrodnię denuncjacji Polaków wobec tego

obcego ojczystych władz państwowych, jakże wrażliwy być musi wobec Polaka, ciężarem tego samego przestępstwa obarczonego, jakże dalego sięgać musi drażliwość jego narodowej etyki i sumienia?

Niestety, praktyka uczy, że niedaleko, b. nawet niedaleko. Jeżeli chodzi o cudzoziemca lub, gdyby los zdarzył jakiś okaz denuncjanta wśród ludzi lewicy, ach! jakże gromko rozległyby się jowiszowe gromy endeckiego potępienia, ile by się polało ze szpalt ich pism i trybun wiecowych soczystego potępienia, zresztą, nikt nie będzie negował, słusznego. Lecz gdy zbrodni przeciwko etyce narodowej dopuścił się „narodowy Polak", lewicowością, czytaj uczciwością, niesplamiony, wówczas pod maską bogoojczyźnianej wyrozumiałości milknie gniew oburzenia i otworem stają dla przestępców drogi do najwspanialszej karjery, zaszczytów, godności i honorów.

Dla Fanny Dittner szubienica, dla Marjana Seydy ministerjalny stolec.

Dla Niemki zamała kara wydalenie z granic państwa, ale dla p. Włodzimierza Ostoi Zagórskiego, który Polaków niemiecką ręką na szubienicę i do ciężkich zsyłał więzień, generalski mundur, wysokie stanowiska i ordery, i cicho, sza, żadnych protestów, żadnych oburzeń i gromów, żadej, chociażby najlżejszej uwagi, że może nalzeżałoby się oczyścić, zanim z denuncjowanemi pospołu sięgać po zaszczyt noszenia polskiego munduru. Cisza. Nie dosłyszał p. minister Sikorski, ogłuchł prokurator, oślepła rozdająca na patrjotyzm patenty Endecja — gdyśmy ogłosili dokument świadczący, że w gabinecie szefa departamentu ministerstwa spraw wojskowych siedzi ukryta w generalski mundur Fanny Dittner w gorszem, bo polskiem wydaniu.

I ta sama „narodowa" elita staropolskiej kołtunerji skrzętnie ukrywała do tej chwili inną Fanny Dittner, również niejakiego Zagórskiego we Lwowie, na prezesa związku obrońców Lwowa wypromowanego, o którym w № 355-tym *Robotnika* czytamy, że „jako sędzia w armji austryjackiej wydał przeszło 100 wyroków śmierci", że ponadto z jego gorliwej inicjatywy „niewinnych ludzi wywożono do obozów dla internowanych, mnóstwo traciły sądy wojenne za pomocą pośpiesznie wydawanych wyroków, wielu ginęło bez wyroków...", że „z wydanych przez dr. Zagórskiego wyroków znamienne zwłaszcza są 3 wypadki w których skazani na śmierć zostali następnie, po wykonaniu egzekucji, zrehabilitowani przez inny sąd wojskowy, który zniósł wyrok przeciw powieszonym" a mianowicie: „Berezowskiemu, Kobylańskiemu i Żabiakowi".

Jeżeli się tedy podniosło, i słusznie, kamień przeciwko Fanny Dittner, macie oto moi Panowie w osobach pp. Zagórskich daleko cięższych wobec narodu przestępców tej samej kategorji — zademonstrujcie publicznie iż nie jesteście tchórz-

liwymi demagogami, pozbawionymi zasad etycznych i moralnych, ideałów i szacunku dla pierwszych kart dziejów Odrodzonej, upstrzonych czarnemi plamami takich właśnie Zagórskich — za jakich ma was dzisiaj prawo uważać każdy Polak uczciwy a rozumny.

w. s.

P. Korfanty o polskości przemysłu górnośląkiego.

(*Rzeczpospolita* № 348 z dnia 21.12.24).

„Od kilku miesięcy prowadzi się namiętną kampanję przeciwko przemysłowi górnośląskiemu, zarzucając mu, że celowo i systematycznie nie przyjmuje urzędników polskich zarówno na stanowiska średnie, jak wyższe. Kampanję tę prowadzi się pod hasłem patrjotyzmu i rzekomej troski o dobro państwa, w rzeczywistości jednak stwierdzić należy, że motywy tej akcji są natury bardzo poziomej i z patrjotyzmem i interesami państwowemi bardzo mało mają wspólnego". Kampanja ta znajduje oparcie „czy to w prasie, czy to w pewnych organizacjach politycznych, które zmonopolizowały patrjotyzm polski, a które naszej polityce wewnętrznej i zagranicznej niezmierną wyrządzają szkodę".

„Celem stwierdzenia, czy słuszne są te zarzuty, podnoszone przeciwko przemysłowi górnośląskiemu: jakoby z powodów politycznych nie dopuszczano osób narodowości polskiej na stanowiska w przemyśle, przeprowadziliśmy ankietę w wielkich przedsiębiorstwach górnośląskich, badając ile osób narodowości polskiej od chwili przejęcia G. Śląska przez Polskę zajęło wyższe i średnie stanowiska w przemyśle górnośląskim... Otóż na podstawie informacji otrzymanych przez nas od adm. poszczególnych przedsięb. przem. na G. Śląsku otrzymaliśmy listę obejmującą 286 nazwisk Polaków, przybyłych z innych dzielnic Polski, lub też znanych z działalności patrjotycznej na G. Śl., którzy po przejęciu tej dzielnicy przez Polskę, otrzymali posady w wielkim przemyśle śląskim. Z tych 286 przypada na naczelne kierownicze stanowiska osób 12, na stanowiska kierozwnicze, jak dyrektorów kopalń i hut osób 19, na stanowiska wymagające akademickiego wykształcenia lub ze wzgledu na rodzaj zajęcia wywyższone (?), jak inżynierów i t. p. osób 86, na stanowiska średnie 169".

Tyle p. Korfanty. Posłuchajmy teraz co mówi

Endecja o rewelacjach Korfantego.

(*Gazeta Poranna* № 356 z dn. 29.12.24.
Warszawianka № 63 z dn. 30.12.24).

„Przed kilku dniami niemjecki przemysł rozpoczął kontrakcję, która ma uśpić czujność społeczeństwa. Pierwszą fanfarą do boju, jest artykuł zamieszczony w № 348 *Rzeczypospolitej* p. t. „Polszczenie Przemysłu Śląskiego".

„Autor artykułu stara się udowodnić, że piętnowanie zatrudniania w wielkim przemyśle niemców hakatystów jest niesłuszne, bo pracuje tam wielu polaków: „12 na naczelnych kierowniczych stanowiskach, 19 jako dyrektorów kopalń i hut, 86 na wyższych, a 169 na średnich stanowiskach". Dane mają być zupełnie autentyczne i są wynikiem ankiety w wielkich przedsiębiorstwach górnośląskich. W rzeczywistości jednak cyfry te są fałszywe...

„Dokładnie stwierdzono, że w przemyśle górnośląskim na naczelnych, kierowniczych stanowiskach jest 3 polaków, a nie 12. Mianowicie:

p. Ciszewski w sp. Hohenlohe, p. Morawski w sp. Lignora i p. Bluck (z pochodzenia żyd) w Hucie Pokoju. Z tych pp. Ciszewski i Gluck dostali się na stanowiska dopiero po wykryciu oszustw podatkowych w spółce Hohenlohe, i gdyby tych oszustw nie było, nigdyby ani Hohenlohe ani Huta Pokoju nie miały generalnych dyrektorów polaków. Prócz pp. Ciszewskiego, Glucka i Morawskiego *Rzeczypospolita* wymienia p. Dworzańczyka, Dawidsona, Czaplę, Faltera, Knothego, Nosowicza, Dr. Przybylskiego i Wojnara. Żaden z nich generalnym dyrektorem nie jest. P. Dworzańczyk ma być zastępcą a nie następcą generalnego dyrektora Schmidta, aresztowanego za oszustwa podatkowe, lecz dotąd jeszcze nie pracuje. P. Czapla jest syndykiem spółki lipińskiej. a nie generalnym dyrektorem. bo gen. dyrektorem jest Drescher, zamieszkujący stale w Bytomiu. P. Falter nie pracuje wcale w przemyśle, lecz w firmie handlowej Robur (własność Friedlendera), sprzedającej węgiel i przetwory węglowe. P. Knothe od niedawna zajęty jest w Skarbofermie, lecz nie na stanowisku generalnego dyrektora. P. Nosowicz nie pracuje w przemyśle tak samo jak żyd Dawidsohn, lecz obaj są kierownikami firmy handlowej Progress, utworzonej po wykryciu nadużyć podatkowych u Caesera Wollheima. P. Wojnar jest tylko dyrektorem Kockereivereinigung, a p. Dr. Przybylski jest zastępcą vicedyrektora biura Berg u. Hüttenn. verein, czyli organizacji, które nie są przemysłem, a tylko przemyśliwują nad korzyściami przemysłowców.

„Podobnie jest z dyrektorami. „Rzeczpospolita" cytuje nazwiska dyrektorów już nie istniejących jak np. Skarzyńskiego, który po wykryciu oszustw podatkowych, w firmie gdzie pracował, został bez zajęcia. Taksamo p. Dykacz nie jest dyrektorem lecz inżynierem w kopalni Donnersmark. Inni znowu są dyrektorami dla „formy" i służą do usuwania trudności między zarządem a władzami. Zapomniano zato o całym szeregu nazwisk polskich, związanych z urzędem dyrektorskim w przemyśle np. o pp. Szymańskim (kop. Remer). Wojciechowskim (kop. Hoym), Stadnikiewiczu (znanym germanofilu, dyr. kop. Eminentz) i t. p., a zato Niemców i hakatystów jak n. p. Krzechkiego z Buildon ogłoszono za Polaków.

„Mydlenie społeczeństwu oczu artykułami, stwierdzającemi polszczenie się śląskiego przemysłu, nie może wywrzeć zamierzonego, ukrytego skutku. Dlatego też wstyd, że są w Polsce ludzie, którzy podobne elaboraty zamieszczają i przedrukowują".

Czas zrobić porządek w Kasie Chorych m. Warszawy!

Największą po Magistracie instytucją w Warszawie, a jedną z największych tego rodzaju instytucji w Europie jest Kasa Chorych m. st. Warszawy. Ustawa o ubezpieczeniu na wypadek choroby uchwalona została przez Sejm Ustawodawczy dzięki temu, że istniał już dekret Rządu Moraczewskiego i że istniejące na podstawie dawnych ustaw, obowiązujących w Niemczech i Austrji, Kasy Chorych w dwuch tych zaborach rozpoczęły natychmiast po ogłoszeniu dekretu dostosowywać swe organizacje do jego postanowień. Większość Sejmu Ustawodawczego była więc w pewnej przymusowej sytuacji i dzięki temu uchwaliła ustawę nowoczesną, opartą o doświadczenia wielu krajów tak, że wśród 11 państw posiadających ubezpieczenia na wypadek choroby Polaka ma je, ustawowo zapewnione, najlepsze bodajże. Ale ustawa to teorja! Najlepsza ustawa nie uleczy najlżejszej choroby, jeśli wykonywana jest źle. Na

warszawską Kasę Chorych narzekają wszyscy. Walczą z nią ze względów egoistycznych lekarze i aptekarze, nienawidzą jej fabrykanci i czynią wszelkie wysiłki w kierunku pogorszenia ustawy, narzekają pracownicy jej i domagają się w organie zawodowym swego związku p. t. „Sprawa Ubezpieczeń Społecznych“ poprawy warunków bytu i szlą delegacje do dyrektora dep. ubezpieczeń p. Jurkiewicza, co najgorsza jednak—narzekają członkowie Kasy Chorych, żalą się leczeni w niej chorzy i inteligenci i robotnicy. Bardzo wielu członków, opłacających wkładki, leczy się w razie choroby u prywatnych lekarzy; delegacja związków pracowników umysłowych interwenjowała u p. Ministra Sokala i domagała się jakiegoś ładu w instytucji, która mogłaby stać się błogosławieństwem całej klasy pracującej, a jest odstraszającym przykładem, jak w naszych warunkach najszczytniejszą reformę społeczną można wypaczyć i obrzydzić.

W interesie uświadomienia społecznego i obywatelskiego należy zdaniem naszem zwracać się nie do Rządu, by leczył bolączki naszych instytucji samorządowych, ale drogą nacisku opinji publicznej należy zmusić ciała do tego powołane, a więc w sprawie Kasy Chorych Radę tej Kasy, która, jaka jest, w każdym razie wyszła z demokratycznych wyborów i posiada w swym łonie dość silną grupę, reprezentującą naprawdę interesy ubezpieczonych, by ta Rada, która wybrała Zarząd, zrobiła porządek w intytucji, za którą jest odpowiedzialna. Jeżeli Zarząd w obecnym składzie nie chce, czy nie umie uporządkować spraw Kasy Chorych, niech go usunie i wybierze inny. Ma po temu dość statutowych środków. Że zaś Zarząd ten źle zarządza sprawami Kasy Chorych nie ulega wątpliwości. Składki są tak wysokie i płynące z nich fundusze tak wielkie, że przy prawidłowej gospodarce, a obecnie przy stałej walucie, uporządkować ją można—chorzy mogą i muszą otrzymać takie świadczenia, jakie się im z ustawy należą i lecznictwo musi być tak urządzone, by nie było przedmiotem ogólnego narzekania. Rada Kasy Chorych obradowała wprawdzie do późnej nocy na swym ostatnim posiedzeniu, cóż kiedy lwią część tych narad poświęciła sprawom dyjet dla członków Zarządu, na sprawy dotyczące chorych członków nie stało już czasu. Wszystkie skargi na nieporządki i niedołężne zarządzanie sprawami Kasy kierują się przeciw prezydjum tego Zarządu, które w sposób arbitalny i ze względu na osobę prezesa, będącego ławnikiem magistratu, dziwnie przypominający metody magistrackie, traktuje sprawy wielkiej instytucji społecznej. Już sam jeden fakt, że tego rodzaju instytucja nie posiada od trzech kwartałów dyrektora, bardzo przypomina sławetną teatralną gospodarkę magistratu. Na fachowego dyrektora nie chce zgodzić się prezydjum, a nie fachowego w sprawach ubezpieczenia chorych inżyniera-technologa, któ-

rego zamianował zarząd, słusznie nie chce zatwierdzić Urząd Ubezpieczeń Społecznych, który ma ustawowe ku temu prawo. A więc nie ma dyrektora wogóle, i faktycznie o wszystkiem decyduje p. Koralewski, bardzo pojętny uczeń i kolega partyjny p. Ilskiego, z takim talentem rządzącego w Magistracie. Funkcje dyrektora pełni chwilowo p. Exner, który okazał się niedość energicznym w dyrekcji Tow. Akc. Budowy Parowozów, więc poszedł (z woli wiceprezesa Zarządu Kasy Chorych, a dyrektora naczelnego tej fabryki p. Sochackiego) „na szmelc"... do dyrekcji Kasy Chorych na stanowisko wicedyrektora finansowego, i słucha naturalnie prezesa i wiceprezesa, nie chcąc na stare lata zostać bez posady. Wicedyrektor administracyjny p. Skarzyński, nie mogąc sobie dać rady w tych stosunkach, poprosił o zwolnienie, podobnie jak naczelny buchalter, b. dyrektor departamentu w ministerstwie pracy p. Turowicz. Tymczasem wszechwładny prezes rządzi i mianuje. Zarząd bowiem Kasy Chorych wszelkie sprawy personalne oddał prezydjum, ponieważ p. Koralewski tak sobie życzył, i członkowie zarządu dopiero ex post dowiadują się o zaszłych zmianach osób na kierujących nawet stanowiskach. Otóż dowiedział się niedawno zarząd, że na czele sekretarjatu w randze V stanął jeden z wybitnych „rozwojowców", aresztowany po wypadkach grudniowych 1922 r., a dla równowagi na czele ewidencji, która ma w swym ręku cały materjał do przyszłych wyborów do Rady Kasy Chorych, stanął komunista; oddawna bowiem p. Koralewski drogą obsady różnych posad umie zapewnić sobie neutralność skrajnej lewicy, liczącej 4 członków.

Spowodowany taką prezydjalną gospodarką zamęt w Kasie Chorych musi naturalnie odbijać się na sprawnem funkcjonowaniu całej instytucji, tembardziej, że niektórzy członkowie zarządu, chcąc też okazać, że mają władzę, mieszają się do urzędowania, wydają dyspozycje i zwiększają tylko panujący chaos.

Czy rada Kasy Chorych uważa, że w takich warunkach sprawa dyet dla członków Zarządu jest naprawdę najpilniejsza?

Twar.

W poszukiwaniu dróg uzdrowienia Sejmu *).

Parlamentaryzm przeżywa widoczny kryzys. We wszystkich prawie krajach rządzonych parlamentarnie ciała ustawodawcze cechuje jakaś niemoc i bezwład. Nigdzie prawie nie są one w stanie stworzyć trwałego silnego rządu, nie mają stałej konsekwentnej linji postępowania, mozolą się nad skleceniem sztucznej większości i zamiast stać się ośrodkiem twórczej woli narodu, stają się nieraz źródłem zamętu, niepokoju i powszechnego zdenerwowania.

---

*) Artykuł dyskusyjny.

Raz wraz słyszymy o przesileniach gabinetowych, o nowych wyborach, ministrowie padają jak ulęgałki, ciągle rwie się nić polityki ogólno-europejskiej, nigdy nie wiadomo co jutro przyniesie — narody przestały być odpowiedzialnemi jednostkami, ich zobowiązania nie sięgają po za dzień dzisiejszy. Cóż pewnego pod słońcem?

Plan Davesa, protokuł genewski? Przecież zaledwie zdołały one powstać już w Anglji ustąpił Mac Donald, a w Niemczech przyszły nowe wybory.

Po za zdecydowanymi przeciwnikami parlamentaryzmu jako systemu rządów: faszystami i bolszewikami, daje się wyczuwać w pewnych sferach społecznych, jak na Zachodzie tak i w Polsce, rozczarowanie do parlamentarnego systemu, pewne lekceważenie ciał ustawodawczych. Odbija się to w prasie, a nawet częściowo w literaturze, że wspomnę włoską powieść „Karjera mego syna".

Zjawiska te są nowe, powojenne i po za Polską, gdzie działają też przyczyny lokalne, jak niski poziom wykształcenia politycznego i długotrwałe przyzwyczajenie do rządów niewoli— kto nie walił pięścią nie był poważany — mają źródło w niezaspokojeniu tych nadziei, które skołatana wojną ludność w działalności wybrańców narodu pokładała.

Przed wojną zagadnienia parlamentaryzmu były prostsze i leżały w innej zupełnie płaszczyźnie. Decydującym momentem był wtedy system wyborczy. Walka o rozszerzenie prawa wyborczego pochłaniała energję mas. Nie było wątpliwości czy prawdziwa niesfałszowana reprezentacja narodu sprosta swemu zadaniu.

Dziś jest już inaczej. Prawie we wszystkich krajach mamy, jeżeli nie idealny, to w każdym razie mniej lub więcej demokratyczny system wyborczy. A jednak przedstawicielstwa narodowe wybrane na podstawie tego systemu nie mają wewnętrznej treści, są jak beczka z bajki Kryłowa, która robi wiele hałasu, a wewnątrz jest pusta. Żadna może zorganizowana praca zbiorowa nie jest tak zależna od mocy przypadku, jak praca dzisiejszych parlamentów.

Ale czy te zjawiska, ta choroba woli, w którą popadł obecnie ustrój parlamentarny są objawami przeżycia się tego ustroju? Czy przyczyna niemocy wypływa z samej istoty parlamentaryzmu, czy leży gdzieś dalej, gdzieś po za nim?

Historja ostatnich lat dwudziestu notuje stały, we wszystkich krajach, we wszystkich społeczeństwach wzrost sił demokratycznych. Do głosu wszędzie dochodzą coraz szersze sfery robotnicze a ostatnio i włościańskie. Lewica społeczna krzepnie i organizuje się. Postęp w tym kierunku jest ciągły i widoczny. Wzrost sił demokracji, zamącony chwilowo przez wypadki wojenne, po wojnie w przyspieszonym odbywa się tempie: dość wskazać na rozwój Partji Pracy w Anglji.

Ci co utrzymują, że Europa idzie na prawo, albo nie umieją, albo boją się patrzeć. Powstanie faszyzmu, na co lubi się powoływać nasza reakcja, jest epizodem przejściowym. Zresztą faszyzm, gdyby rzeczywiście fala rozwoju dziejowego toczyła się w kierunku zachowawczym nie miałby racji bytu, stałby się niepotrzebnym. Narodziny faszyzmu dowodzą właśnie, że lewicowe niepezpieczeństwo jest realne, że się rozwija.

Proces ten odbija się na życiu parlamentarnym narodów. Ciała ustawodawcze dzisiaj, w mniejszym lub większym stopniu, odzwierciadlają ustosunkowanie sił wewnątrz samych narodów: rozbicie ich sympatji i wierzeń politycznych na dwa krańce znajdujące odpowiednik w dwuch przeciwnych sobie, liczebnie jednakowo silnych: prawicowym i lewicowym blokach parlamentarnych. Jest to podział może trochę szematyczny, gdyż istnieją grupy lub grupki centrowe, pośrednie, ale są one nikłe i w ogólnym rachunku nie odgrywają roli.

I tu leży najistotniejsza przyczyna obecnego kryzysu parlamentaryzmu. Nie można rządzić wbrew woli lewicy, ale nie można też jeszcze rządzić nie licząc się z postulatami prawej strony społeczeństwa.

Nie można stworzyć większości w parlamencie, gdyż nie ma jej i w samym społeczeństwie. Stanęliśmy jak gdyby na martwym punkcie. Jest jasnem, że każde ciało ustawodawcze w swym rozwoju musi dojść do tego punktu i że im predzej powstanie w danym społeczeństwie zdecydowana większość, tem prędzej punkt ten zostanie przekroczony, tem prędzej skończą się krytyczne dni parlamentaryzmu. Wychodząc z tych założeń łatwo zrozumieć, iż wszelkie tak zwane próby uzdrowienia parlamentu w drodze wewnętrznych na jego organizmie hirurgicznych zabiegów skazane są na niepowodzenie. Rozwiązanie kwestji nie leży w stworzeniu jakiejś sztucznej większości parlamentarnej lub co gorsza w zmianie systemu wyborczego w kierunku zagwarantowania jakiejś partji większości przy wyborach.

W ten sposób bowiem usuwa się zewnętrzny przejaw choroby nie usuwając jej przyczyny. Rząd oparty na takiej sztucznej większości pseudoparlamentarnej, osiągniętej czy to drogą konszachtów międzypartyjnych, czy drogą zniekształcenia demokratycznego prawa wyborczego, nie może mieć istotnej siły, bo nie ma dla niej podłoża w samym społeczeństwie. Chcąc jednak zachować pozory siły, do czego go obowiązuje tytuł rządu większości parlamentarnej, zmuszony będzie wstąpić na drogę represji i gwałtu, jak mieliśmy tego przykład z rządem Chjeno Piasta.

To nie był zbieg okoliczności, że rząd, który się reklamował jako najbardziej parlamentarny rząd w Polsce, był jednocześnie najkrwawszym z rządów.

Obowiązkiem więc demokracji jest nie dopuścić do tworzenia rządów pseudoparlamentarnych i za największych szkod-

ników uważać tych, którzy dla rzekomego uzdrowienia parlamentaryzmu pragną zmienić w duchu reakcyjnym prawo wyborcze, gdyż w logicznym rozwoju usiłowania te prowadzą do zamaskowanej albo i jawnej dyktatury bloku prawicowego.

Takie próby uzdrowienia kryją w sobie daleko większe niebezpieczeństwo niż sama choroba. Nad usunięciem niedomagań parlamentarnych w dzisiejszej ich formie najskuteczniej pracuje sama historja. Skoro zwycięstwo przechyli się w samym społeczeństwie na stronę lewicy, odpadną same przez się wtedy te zagadnienia życia parlamentarnego, które zaprzątają obecnie umysł tylu polittyków.

T. Wojnarowski.

OD REDAKCJI.

Dobrze orjentować się w zagadnieniach politycznych, to przedewszystkiem znać dokładnie wszystkie kształtujące je fakty. Nie mają wartości abstrakcyjne programy, hasła i koncepcje. Obliczone na użytek życiowy muszą się z życiem liczyć, z jego potrzeb wypływać i do nich się stosować. Stąd trzeba pilnie śledzić jego przejawy, zdarzenia, etapy. Praca ta, aby była skuteczna, musi być systematyczna i objektywna, a rezultaty jej zestawione w formie dogodnej, że tak ją nazwiemy, podręcznej.

Nie może odpowiedzieć tej potrzebie prasa codzienna, w naturalne pogoni za aktualnością zmuszona częstokroć podawać informacje następnie prostowane lub dementowane; ogarniająca wszystkie dziedziny i przejawy życia, i dająca pierwsze miejsce aktualnie najbardziej zaprzątającej uwagę czytelnika — a więc nastręczająca wiele trudu przy odszukiwaniu, w olbrzymich tomach roczników, dat i faktów ściśle politycznych. Wreszcie i format pism codziennych utrudnia kompletowanie ich na przestrzeni miesięcy i lat.

Powyższe tedy mając na uwadze *Głos Prawdy* wprowadza z dniem 1 stycznia 1925 r., stałą kronikę zdarzeń politycznych: wewnętrznych i na terenie międzynarodowym. Wolna od komentarzy i tendencji, a notująca wyłącznie suche fakty, kronika wypełni, przynajmniej częściowo, odczuwany niewątpliwie przez politycznie myślący ogół brak usystematyzowanego materjału politycznego, żłobiącego, ponad rozgwarem naszych sporów i walk, krok za krokiem karty historji.

Warunki prenumeraty: Prenumerata miesięcznie **1 złoty,** kwartalnie **3 złote.** Zagranicą kwartalnie **5 złotych.**
Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. **3288.**

Redaktor i Wydawca: **Wojciech Stpiczyński.**

Zakł. Graf. „DRUKARNIA BANKOWA", Moniuszki 11.